



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

PAMIĘCI

STANISŁAWA GRUDZIŃSKIEGO.

Nie doczekawszy się wieczornych cieni,
Do snu pochylił głowę utrudzoną;
Na ręce wzięwszy bracia rozżaleni,
W rodzinnej ziemi złożyli go łono.
W ciemnym i cichym zostawiając grobie,
Na pożegnanie rzekli:—Pokój tobie!

* * *

Pokój ci duchu w świetle wiekuistym!
Pokój ci w dobrem u ludzi wspomnieniu....
Poezya twoja była w sercu czystem,
Była w miłosnej tkliwości natchnieniu,
Głos twój, płynący ku nam, dźwięczał smutnie,
Jak nad wodami Babilonu lutnie.

* * *

Stający teraz u mogiły świeżej,
Mówim przechodniom słowy żałosnymi:



Stanisław Grudziński † d. 3 Czerwca 1884 r.

—Tu dobry ludu swego śpiewak leży,
Tu leży dobry syn tej matki ziemi,
Który nic złego nikomu nie czynił:
Duchów nie klócił, sercom nie zawinił...

* * *

Nie szarpnął nigdy drogiej nam świętości.
Bo jemu również była ukochaną:
Gdzie są w ołtarzach męczenników kości,
Umiał pobożnie uginać kolano,
I nie bluźniły nigdy jego usta,
Że nam skarbona przeszłości jest pusta.

* * *

I on znał może tych starć niepokoje,
W których duch ludzki z sobą się szamota:
Ale przewalczał w ciszy takie boje,
W obywatelu widząc, co jest cnota,
I serce w piersi miał zbyt kochające,
By ciskać słowa—jako miedź brzęczące....

* * *

I to dopiero, z czym przyszedł do zgody:
Już przetopiony w ogniu kruszec złoty,
To kładł w pieśń swoją—z tą też blask pogody
Świecił tam mimo żalów i tęsknoty,
Więc głos ten słodki był tak ludziom miły,
Że przyszli tłumem płakać u mogiły.

* * *

I tu gdzie leżą jego ziemskie szczątki,
Gdzie ma mieszkanie wpośród nas ostatnie,
Niech się pod krzyżem znajdzie głaz pamiątki,
Któryby ręce położyły bratnie—
I niechaj ludzka łaża się tu poleje,
Bo uczył kochać, wierzyć, mieć nadzieję!...

Marya Ilnicka.

KWESTYA KOBIECA W EUROPIE.

Książka Teodora Stanton, traktująca kwestyą kobiecą we wszystkich krajach Europy, a składająca się z szeregu studyów w tym przedmiocie, pisanych przeważnie przez kobiety tej narodowości, o którą chodzi, wyszła na koniec z druku po paroletniej zwłoce, spowodowanej przez brak nakładcy—i to wyszła nie w Europie, którą się zajmuje, ale w Ameryce, w Nowym-Yorku, nakładem tamtejszej wspólki księgarskiej Puttmann. Czytelnicy nasi wiedzą, że o kobiecie polskiej pisze p. Eliza Orzeszkowa; mając w ręku pierwszą dopiero część dzieła, traktującą o kobiecie francuskiej, nie możemy jeszcze nic orzec o całości, to

tylko pewna, że samo zestawienie materiału jaki się tam nagromadzić musiał, już interes budzi i znaczenie książki podnosi. Szkic historyczny ruchu, dążącego do podniesienia stanowiska kobiety francuskiej, krótkie *resumé* skreślone przez Stanton, rozpoczyna francuski rozdział książki, w błędny zupełnie sposób, bo tak, jakgdyby historia moralnego znaczenia kobiety we Francji, historia praw przez społeczeństwa francuskie kobiecie przyznawanych i żądanych przez nią, zaczynała się dopiero z chwilą rewolucji. Istnieje książka Fenelona o edukacji kobiet, napisana tak liberalnie i tak przychylnie dla wyższego oświecenia kobiety, że paryżkie kolegium dla kobiet, będące prawie uniwersytetem kobiecym, a wzniesione przecież pod rządem Ferrego, wzięło sobie nazwę „Kolegium Fenelona” — a nie nosi ono bynajmniej cech szlachetnej utopii, ale widocznie odpowiada potrzebom i chęciom swego czasu, co wykazuje, że kobieta francuska już wtedy podniosła się do żądania, a społeczeństwo już się poczuło do sprawiedliwości przyznawania jej najwyższego i istotnie ludzkiego najdroższego prawa—prawa światła, wiedzy, myśli rozumnie, wykształconej. Widocznie Stanton bierze głównie w rachunek polityczne prawa kobiece, i z tą historią kobiecą kwestii we Francji zaczyna od 1787 r., to jest od książki Condorcet'a: „Lettres d'un bourgeois de New Hawen à un citoyen de Virginie”, i broszury: „Sur l'admission de femmes au droit de cité”, które dopominają się dla kobiety praw głosowania i przyjęcia do gminy miast. Członek konwencji, ksiądz Fauchet, tak jak Sieyès, Saint-Just i inni jeszcze przemawiali za tem z trybuny, drukując mowy swoje w pismach owej epoki, lecz trzeba tu dodać, o czym Stanton nie zdaje się nic wiedzieć, że pierwsza Rewolucja Francuska nie nie zrobiła dla edukacji kobiecej, jak to wskazuje poważny, rozumny, w szlachetny sposób przyjaciel kobiety i jej historyk: Laboulaye. Konwencja, na którą się Stanton powołuje, iż w kwestii początkowego nauczania porównała dziewczęta z chłopcami, dała im jedynie pusty frazes. Trzeba przyznać, że chciano się oprzeć na naturze przyszłego powołania kobiety w społeczeństwie, ale tak to wyszło, że nauka jej została żadną.

W kodexie Konwencji układanym przez Cambacerès'a, dano rzeczywiście kobiecie-jonie prawa, ograniczające despotyczną dotąd władzę męża. Kobiety już też występowały i same; pod tym względem Rewolucja Francuska może być rzeczywiście uważana za epokę, od której datuje ruch takzwanej emancypacji kobiecej. „Petycja kobiet trzeciego stanu” podana królowi w 1789 r., napisana dobrze, spokojnie, odnosi się głównie do ekonomicznego położenia kobiety i jest pierwszym objawem tej rzeczywistej kwestii kobiecej, która obok kwestii wykształcenia, zajmuje każdego poważnego myśliciela. Druga, później już, ale jeszcze w tym samym roku wniesiona do Zgromadzenia Narodowego petycja, jest zupełnie inną: żąda najzupełniejszego porównania kobiety i mężczyzny we wszystkich prawach i funkcjach publicznych w zakresie praw politycznych i cywilnych: żąda między innymi, aby kapłaństwo było tak przystępnem dla kobiet, jak urząd sędziego, prawodawcy—żąda dla kobiety miejsca w zebraniu Stanów Generalnych. Ostrzegając o tem Zgromadzenie Narodowe, że od szczęścia kobiet, zawisłem jest szczęście Francji, petycjonariuszki żądały dekretu, któryby nakazywał mężczyznom żenić się z kobietami, niemającymi posagu.

Stworzył się wkrótce klub kobiecy, którego prezydentką była niejaka Melle Orbe i gdzie przemawiano w najgwałtowniejszy i najszaleńszy sposób. Autorka „Deklaracji praw kobiety” Olimpia de Gouges, podobna jej przez namietność i kierunek myśli Róża Lacombe, obok wstretnej a nieszczęsnej Teroiny de Méricourt z muszkietem na ramieniu, gospodarowały tam i przewodniczyły temu tłumowi, meger krwiożerczych, które się zaznaczyły przy wzięciu Bastylli, przy święcie Federacji i tworzyły ów sławny orszak towarzyszący Ludwikowi XVI przy przeprowadzinach jego z Wersalu do Paryża.

Dlaczego Stanton miesza to wszystko z kwe-

stą kobiecą, dlaczego jednoczy z nią te wszystkie awanturnice—zbrudzone, rozszałane istoty takie, jak owa wojowniczego ducha Teroina Méricourt, jak Olimpia de Gouges? Co wspólne z postępowaniem praw kobiety mają te harpie, rozkochanie w gilotynie, o których pisze: „Ich energiczne postępowanie uwięczyło powodzeniem wypadki 5 i 6 Października”.

Historyzofując z tego stanowiska, dochodzi Stanton z kolei do zarzutu, stawianego przewódcom rewolucji, że z ich winy wszystkie te dzieła kobiece nie otrzymały zapłaty żadnej, nie przyniosły żadnej nagrody pożądanego skutku. „Rzeczniostwo wielkich ludzi i czynność, energiczność samych kobiet (*activité et vigueur des femmes elles mêmes*), zdawały się wróżyć w pierwszych dniach Rewolucji otwarcie się dla kobiety nowej ery. Ale sprawcy rewolucji chcieli tylko użyć kobiety dla dopięcia celów swoich.” Skoro tylko rewolucja rozwinęła się pomyślnie, kobieta została opuszczoną. „W początkach zachęcali je do zawiązywania klubów, oklaskiwali ich zapal dla sprawy, aby potem kluby te zamykać, zapal ten odepchnąć, a końcu, gdy cel został osiągnięty, odtrącono je (kobiety) w tył do ich dawnej pozycji. Mirabeau, Danton, Robespierre i tam dalej, położyli koniec ruchowi kobiecemu, aż Rzeczpospolita przetworzyła się stopniowo w Cesarstwo, które zadało cios ostatni (*coup de grâce*) aspiracyom kobiet z 1789 r.”

Sąd to płaski i bez podstawy, przeceniający, wśród wielkiego ruchu wzburzonych sił narodu, znaczenie kobiet. Czy można przypuścić machiawelizm tego rodzaju ze strony Mirabeau, Dantona, Robespierre'a? Gorące, namietne natury, szaleńcem nowych idei uniesione, dążyły za wielkim, ogólniejszym celem i nie bawiły się pewno po drodze w zawieranie i zrywanie paktów z Olimpią de Gouges i jej podobnymi. Ale jeszcze więcej niezrozumiałą jest rzecz, że je autor wmieszał tu, ohydzone te postacie kobiet upadłych. Pod takimi auspicjami prowadzona sprawa podniesienia praw kobiety może przepaść tylko; że przeciw książce jest dziełem kilkunastu autorów, że między nimi są kobiety wyższego w literaturze stanowiska, jeszcze o całej książce stanowczo potępiającego wyroku wydać nie można.

Ale można to już zrozumieć: dlaczego się nakładca na nią w Europie nie znalazł. Ten już rozdział francuski, z tym wstępem historycznym mógł odstraszyć nawet bardzo ryzykownych.

Rok 1830 czyli, druga rewolucja francuska, zostaje z kolei podana przez Stanton, jako era nowego podniesienia głosu ze strony kobiety. Ale i tu tak jest zmieszaniem wszystkiego, co było jakimśkolwiek wystąpieniem, jakąkolwiek działalnością kobiety wśród prądu nowych wyobrażeń, że czytelnik sam kierując się własną znajomością tej historycznej doby i działających w niej ludzi, musi to sobie rozplatać, rozdzielić na gatunki. Ale tu przynajmniej wszystko już, czy mniej czy więcej jest w dążeniach i przekonaniach swoich krańcowem, można a nawet należy zaliczyć na ten ruch myśli, który tworzy moralną historią kobiety, historią objawów kobiecego ducha w historii społeczeństw nowożytnych. Pisma poświęcone sprawie kobiecej ukazują się licznie. Najpierw zjawia się w 1832 r., dziennik: „La femme nouvelle” trwający tylko rok i „Gazette des femmes” wychodząca od 1836 do 1838 r. Tu redaktorką była kobieta; M-me Poutret de Manchamps. Opierając się na wyrażeniu konstytucji z 1830 r., która otwierała drogę do życia parlamentarnego narodowi francuskiemu, pani ta wystąpiła ze strony kobiety, należącej też przecież do „narodu francuskiego”, z żądaniem przypuszczenia do parlamentu. W naczelnym artykule swego pisma, zatytułowanym: „Mężę, godni tej nazwy, którzy żądają przyznania kobiecie jej praw, cywilnych i politycznych,” zamieściwszy listę znakomitszych zwolenników jej pojęć, wymieniła między niemi Chateaubrianda, już wtedy bardzo sędziwego, i napisała zaraz następnie, że autor „Atali” odwiedził ją i zapisawszy się między abonentów jej dziennika, powiedział: „Bronisz pani szlachetnej sprawy.”

Na wspomnianej liście znajdował się i Juliusz

Janin, krytyk i pisarz wyższego znaczenia; przecież *Gazette des femmes* nie przetrwała dwóch lat czasu. W czasie jej istnienia redaktorka wystąpiła z petycją tak do króla, jak parlamentu, żądając: zmian tych artykułów w kodexie, które odsuwają kobietę od praw równych z mężczyzną, przypuszczenia kobiety do Instytutu Francuzkiego, wreszcie do wykładów uniwersyteckich i stopni naukowych, jakie po odpowiednich egzaminach otrzymują mężczyźni.

Wtedy Izby odrzuciły wszystko; dziś przecież kobieta Francuzka używa już najważniejszego z praw owych — prawa równej z mężczyzną nauki.

W 1834 r., powstało też nowe pismo kobiece „Amazonka” trwające przecież tak krótko, że w Paryskiej Bibliotece Narodowej nie znajduje się ani jeden jego numer i jedynym tu śladem jest prospekt, zapowiadający, że „Amazonka” będzie prowadzić polityczną edukację kobiet.

Wtedy-to, bo mniej więcej w tym samym czasie, Laboulaye, młody wówczas, napisał: „Recherches sur la condition civile et politique des femmes depuis les Romains, jusqu'à nos jours.” Wtedy również Legouvé, także młody zupełnie, wydał „Histoire morale de la femme” — „L'égalité dans la différence” to godło jego. Dziwna rzecz, że Stanton podający tak dokładnie cały obraz ruchu kwesty kobiecej nie wspomina wcale o Sand i wypadkowo wtrąca to tylko, że Janin cenil jej talent wysoko.

Trzecia rewolucja i druga rzeczpospolita następują z kolei. W 1848 r. kobieta francuzka przyjmuje chętnie doktryny socjalistyczne, ale nie znajduje dość przyjaciół między wyznawcami tych idei. Jedną ze znakomitszych jej wyznawczyń, Joanna Deroin Desroches, następnie zamknięta w więzieniu St. Lazare, pisała, że na 900 członków Konstytuancy jeden z nich tylko, Wiktor Considérant, uczeń Fourier'a, odezwał się za politycznymi prawami kobiety. W 1851 r. wniesiono do izb projekt odebrania kobietom prawa petycji w politycznych przedmiotach i tylko trzech deputowanych, między niemi Crémieux, protestowało. Wprawdzie radykalista, Piotr Leroux, wystąpił z żądaniem przypuszczenia kobiety do głosowania na wybory parlamentu, ale Izba odpowiedziała mu śmiechem.

Niemniej jednak i teraz posypały się dzienniki kobiece: *La politique des femmes*, *L'opinion des femmes*, *La voix des femmes*, występujące radykalnie w interesie praw kobiety. Czwartym z rzędu: *La république des femmes* był homorystycznym i niby to organem kobiet, z których sztych: dalszy ciąg jego tytułu był: „Journal des cottillions” Stowarzyszenie kobiece: *Vésuviennes* miało być także przez nieprzyjaciół kobiet, przez policję dla zdekretywania ich zawiązane, czemu jednak wierzyć trudno. Najgorszego rzędu kobiety chciały się wtedy podszycać pod płaszcz „La femme affranchie”; w którą-to książkę wraz z jej autorką: Jenny d'Héricourt, uderzył ciężki młot dzieła Proudhon'a: „La justice dans l'église et dans la révolution” M-me Adam, wtedy jeszcze Julietta Lambert, odpowiedziała książką: „Idées antiproudhoniennes sur l'amour, la femme et le mariage.”

Tu następuje przełom w kierunku ruchu kobiecego. Jeszcze Eugénienus Pelletan, należący do republikanów z 1848 r., pisze znaną z rozbioru czytelnikom naszym książkę: „La Mère”, w której podnosi wielki wpływ, wielkie znaczenie matki w społeczeństwie i z tytułu tej godności żąda dla kobiety prawa głosowania, ale kierunek kwesty kobiecej przechodzi już w fazę nową. Kobieta żąda pracy, praca kobiety stanowi główny punkt tej kwesty, która kobietę się zowie i której cały ogół poważny daje uwagę swoją.

(Dokończenie nastąpi.)

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

W jednym ze swoich krótszych, a najładniejszych zarazem wierszy, zatytułowanym „Wierzbą”, tak przedwcześnie zmarły poeta opiewa tę sierotę w pustym polu przy drodze, szarpaną wichrem, obdzieraną złą, czy psotną ręką, łachmanem kurzu w dzień skwarny, w zimie śniegu łachmanem przykrytą, a jednak....

Dziwnaż wierzyby tej siła,
To nie drzewo, lecz skała!
Tyle zim już przeżyła,
I burz tyle przetrwała!
Połamana, obdarta,
Druh i wróg ją wciąż gnębi,
Ona żyje uparta,
Kryje siłę gdzieś w głębi.

Ale nietylko żyje, — „z każdym rokiem i wiosną wśród słonecznych promieni”, nową zielenią się pokrywa i odrasta, i choć nie ustaje niedola, co wiosna, — „nową fletnią wierzbową słyszą łąki i pola!... ”

Pełz rzeczy, a pomiędzy niemi i poezja — podobnych do tej wierzyby łamanej i gnębionej, obdzieranej i targanej, a przecież nie usycha, nie butwieje i nie zamiera.

To nie drzewo, lecz skała!...

Jak owa wierzbą zdarzają się i idee, i ludzie, i społeczeństwa całe; jak owa wierzbą bywają i poeci, którym życie dokucza i obdziera im serce, jak zieloną gałąź z liścia, a jednak nie ustaje niedola i świat nowych piosenek słucha na ligawce poezji.... nowe natchnienia szybują z omglonej ziemi pod niebo, szukając słońca, bo dobrze powiedziano, że „duch ludzki, jak woda — im ciśnie, tem wyżej się wznosi”.

Do wierzyby takiej zbiedzonej przy drodze żywota podobny był również s. p. Stanisław Grudziński, któregośmy przed dwoma tygodniami zaniesli do mogiły, zielonej od wienców laurowych, zroszonej rzewną łzę żalu miłości i przyjaźni, jakiej niewiele dostało w udziale na ulżenie ciężkiego żywota.

Umarł w tym wieku, w którym mężczyzna dopiero dojrzałe życie rozpoczyna, ale los dał mu wszystkiego skosztować z tej czary, dziś stłuczonej, a tak niedawno jeszcze pełnej po brzegi.

Dziwnie jakoś przedwcześnie składało się wszystko w życiu tego poety; dzieckiem odumarli go rodzice, pozostawiając tylko piękne nazwisko z głośną niegdyś tradycją rodową na Ukrainie i resztki możnej kiedyś fortuny; pieśń, jak rusałka stepów, czarować i bałamucić zaczęła wczesnie chłopięcą duszę, a umysł wcześniej rozwinał się od ciała i przez głębokie, ciemne, rozmarzone oczy wyrostka, co jak smukła sosenka wystrzelił w górę, przeglądała już dusza poety.

Młodo zaczął w Kijowskim, młodo skończył w Jagiellońskim Uniwersytecie studia, otaczany wszędzie szacunkiem i tą intuicyjną miłością kolegów, którzy kochali w nim człowieka a szanowali talent i kupili się przy nim, pociągani pieśnią swojskiej nuty, co w młode serce wlewała się, jak stary miód, krzepiąc je i rozgrzewając.

Dwadzieścia cztery zaledwie lata skończył, kiedy we Lwowie pojął za żonę pannę Zofię Misiągiewiczównę, jedną z tych istot, jakby stworzonych na żonę dla poety, co umieją wybierać cierpie z pod laurowej korony mężów.

Bóg dał im jedynaczkę, jak gwiazdkę jasną na tle rodzinnego nieba, w którą oboje zapatrzeni, zapominali o mrokach czarnej nieraz doli.

Trzeba było widzieć rozkosz i dumę młodego ojca, gdy swą Manię bujał na kolanach i piosnki śpiewał ukraińskie, a dziecko patrzyło dużymi, mądrymi oczyma, jakby rozumiało i nutę, i słowa, bo nie darmo było córką poety.

Pozazdrościł mu los tego szczęścia i błonica

wydarła rodzicom ich jedyne dziecko, pierwszym kirem pokrywając dusze ojca i matki.

Było to przed kilku laty w Zakopanem; wówczas z rozdartej piersi poety wypłynęła taka skarga:

Co kochałem — przeklinać dziś muszę,
Szczytów górskich kłąć ciszę obłudną....
Z nich-to kamień się zwałił na duszę,
Z pod którego podźwignąć się trudno!
Wśród kwiatów tatrzańskich doliny,
Żmija w serce ugryzła mię skrycie,
Tam me szczęście i skarb mój jedyny,
Dziwożony porwały mi dziecię!....

Ciężkie dni zaczęły się dla obojga, w których, jak zwykle, krzepił się wiarą w Boga i w nieśmiertelność duszy, pocieszając strapioną żonę, co „została matką anioła”, i siebie nadzieją, że kiedyś na wieczności progę, ciągnąc życie jak łańcuch za sobą — spotkają znów wśród anielskich chórów swą jedynaczkę, która „do stóp ich przypadnie z pieszczotą w tajemniczym zaziemskim świecie”.

Poza żałobą zaczęła się jeszcze gorsza klęska: zdrowie poety, zawsze wątłe, podtrzymywane sztucznie tylko szczególniejszą troskliwością i opieką żony i lekarzy, psuć się zaczęło coraz bardziej. Bliżsi nie ludzili się wcale, że ten czerw, który pokrywemu toczył płuca ich przyjaciela i druha, przegryzie prędzej czy później cienką nitkę życia; tylko sam chory nie znał stanu niebezpieczeństwa, nie przypuszczał, aby to były suchoty, jakkolwiek przed nim, tylu członków jego rodziny zmarło z choroby piersiowej.

Ostatnie dwa lata prawie bezustannie przeleżał, to na Podolu u swojej siostry, to w Warszawie nareszcie, wyczekując do ostatniej chwili powrotu sił, które nikły nieubłagane coraz bardziej i rozwiewały wszelką nadzieję uratowania chorego.

Z całą przytomnością umysłu i tą wiarą suchotników w konieczne polepszenie zdrowia, przedwcześnie zamknął powieki, obiecując sobie jeszcze w wigilię śmierci powstać niebawem i zabrać się znów do przerwanej pracy.

W miesiącu Kwietniu zaledwie lat trzydzieści dwa ukończył.

Tak mało było tego życia, tak mało szczęścia w niem trwałego, a jednak wśród walki z losem i cierpieniami, dusza poety nie upadła, pieśń nie milkła, praca nie ustawała, a co ważniejsza, nie ciążyła człowiekowi, który wychowany w dostatkach — w późniejszym życiu z konieczności nagiąć się do niej musiał i pieśnią zarabiał na utrzymanie rodziny.

Kiedyś, gdy o chleb powszedni dbać nie potrzebował, gdy marzył o ideałach, przez które ludzkość wznosi się i postępuje ku zbawieniu swemu, pisał dla tej kochanki wszystkich poetów, dla sławy, i głośno powstawał przeciw ciężkim warunkom życia i społeczeństwa. W którym poeta nie może swobodnie śpiewać, jak słowik lub jak orzeł wznosić ku słońcu. Materyalizm i hasła krańcowego postępu raziły go, jak zgrzyt żelaza po szkale, nawoływania poetów „do młota i kielni” oburzały, gotów był rwać popręgi, które brutalnie wpręgano Pegaza do pługów. Jak w poematach jego („Dwie mogiły”), i dumkach odzywały się echa wymierającej szkoły ukraińskiej, tak w całym nastroju górował jeszcze ton gasnącego romantyzmu.

Dopóty życie w nas gości,
Dopóki serce nie skrzepło,
A słońce — ten wzór miłości,
Daje nam światło i ciepło,
Zwątpień cisnących się tłumnie,
Ono rozstrzyga zawilość:
Mądrością — kochać rozumnie,
Mądrością — miłość!....

Wiedział on wprawdzie i wierzył, że „idziem po postępu drodze, chociaż ta droga wiedzie nad otchłanią”, i chociaż w mrokach błędzić musimy,

ale widział „doskonałość dopiero w błękitach“ i od najmłodszych lat, pomimo zawodów i cierni na drodze żywota—był do ostatniego tchnienia idealistą w poezji i w życiu, idealistą wierzącym głęboko i w swoje ideały, i w konieczny ich tryumf, prędzej czy później. Ta wiara zaprawiała też przeważnie optymizmem jego utwory, wbrew modnemu dziś i szczerze czy nieszczerze głoszonemu pesymizmowi.

Uczucie religijne, wiara w Boga, w którym „dobra i piękna świat wspaniała ma odwieczny istnienia początek“, ożywiały go zawsze i krzepiły, chroniąc od zgorzknienia i wewnętrznej rozterki.

Grudziński nie należał do talentów wielkich, oryginalnych i niepospolitych, bo gdzież ich dzisiaj szukać?... ale swoim idealizmem właśnie zajmował w danych warunkach odrębne stanowisko, a że dusza była czysta, szlachetna, niezmaczona, więc w pieśniach jego brzmiała nuta prawdy i szczerości, która jednała i szacunek budziła nawet w przeciwnikach jego kierunku i zasad.

Od wydania pierwszego młodzieńczego jeszcze utworu p. t.: „Idealista“, Grudziński pozostał konsekwentnym i wiernym sobie. Dopóki życie nie zadrasnęło go ostrzejszym kolcem, śpiewał swobodnie, na lżejszą i wesełą nutę, a w „Marzeniach, i piosnkach“ zebrał się pierwszy większy plon jego natchnienia. Wiersz płynął mu łatwo, zawsze gładki i utoczony, a ta łatwość wytworzyła też wadę organiczną jego większych poematów, w których często za dużo zbierało się rymów. W początkach objawiała się pewna skłonność do poetyckiej retoryki; poeta nie umiał się powściągnąć i pohamować nawet wówczas, gdy sam temat i poczucie efektu powinno go było do większego skupienia i większej ekonomii wiersza nakłonić.

Mimo to niezwykłą siłą i zapałem młodzieńczym odznaczały się jego „Urwane akordy“, w których natchnienie i uczucie poety zdobyło się na najpiękniejsze strofy, jakie wyszły spod pióra Grudzińskiego, a do których, niestety, późniejsze wpływy i warunki twórczości wrócić mu już nie pozwalały. Takie poezje jak: *Sursum corda!* „Nam nie wolno“, „Na ruinach“ i „Do Polek“, zapisały od razu Grudzińskiego w rzędzie najsympatyczniejszych śpiewaków ostatniej doby. Do lotu w cieńszej sferze uczuć lirycznych talent poety miał za szerokie skrzydło, ale znów do wyższych porywów chęci i zapału nie brakło, tylko siły były za słabe.

W tomie jego „Poezyi“, wydanych w roku zeszłym, znajdują się bardzo piękne kwiaty natchnienia i uczuć obok bladych i wymuszonych.

Zresztą od czasu przeniesienia się do Warszawy i objęcia w 1878 roku redakcji *Tygodnika powszechnego*, któremu swem piórem pomógł wiele do wzniesienia się i rozwoju, Grudziński więcej czasu i zdolności swych poświęcał literackim i beletrystycznym pracom.

Powieść i nowella, łatwiejsze do zbytu, chętniej czytane, zyskowniejsze wreszcie wśród produkcji literackiej, pochłonięły talent i natchnienia poety, który zaczął pisać dla chleba i musiał pogodzić się ze smutną koniecznością życia i jego warunków.

W przeciągu lat kilku, oprócz artykułów, krytyk, feljetonów, podpisywanych pseudonimem Kazimierza Grzymały, wyszło spod pióra Grudzińskiego z dziesięć tomów powieści i nowellek, coraz dojrzałych w formie i poważniejszych w treści, zaprawionej pewną tendencyjnością i zawsze szlachetnym idealizmem w poglądach na świat, ludzi i stosunki życiowe, jak „Łokciem i miarką“, „Wbrew opinii“, „Zuch dziewczyna“, „Lala“, i t. d.

Z materyału poetycznego, który dopraszał się niekiedy formy wierszowanej, powstały w prozie wdzięczne obrazki wydane później w dwóch tomach „Powieści Ukraińskich“. Jeszcze na łóżu cierpienia gorączkowo pracował nad wykończeniem kilku utworów, które jak pogrobowce przeżyły swego autora. *Biesiada Literacka* pomieszcza właśnie powieść jego „Świat i pustynia“, a *Kłosa* wydrukować mają dwutomową „Żonę artysty“.

Próbował Grudziński pisać dla sceny — ale

w tym rodzaju twórczości zabrakło mu koniecznych warunków i ani dyalogowany poemat nazwany obrazem dramatycznym „Za wyrokiem sądu“ ani komedia społeczna „Meteory“, nie dopięły swego celu.

Bluszcz zaliczał zmarłego do swoich współpracowników i był jednym z pierwszych pism, które młodego poetę przedstawiły kołom czytelników w Warszawie.

Autor pięknego wiersza „do Polek“, doczekał się wreszcie popularności i rozgłosu; utwory jego tłómaczyli Niemcy i Czesi. Podczas jubileuszu Camoensa król portugalski, wyszczególniając pisarzy i redaktorów, którzy do oświecenia państwa przyczynili, między innymi obdarzył i Grudzińskiego orderem Zbawiciela.

Jako człowiek, mąż, ojciec rodziny, jako przyjaciel i współtowarzysz pracy, Grudziński umiał zaskarbić sobie miłość i szacunek powszechny, który najlepiej objawił się u grobu poety; bez różnicy przekonani wszyscy stanęli u trumny druha ze żłą żalu i współczucia, z wieniec uznania i pamięci, a gorącym słowem pożegnał go wymowny kapłan i kolega po piórze, ksiądz Zygmunt Chełmiński.

Żal nad utratą prawego człowieka i zdolnego pisarza tem większy, że godnych i równych jemu ubywa coraz więcej, a coraz mniej przybywa podobnych na opuszczonych stanowiskach.

Niech spoczywa w pokoju, a żyje w sercach i pamięci naszej!...

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Przez całe dnie, ile się razy spotkali, ona powracała do tego, aby syna przekonać, iż w ojcowskim świecie szukać powinien szczęścia; on upierał się przy tem, iż najlepiej mu było tak, jak teraz, żyć.

— Chcesz, abym wesołym się okazywał—mówił matce—ale przypomnij sobie, że ja nigdy nie byłem wesołym. Taka moja natura. Płacząc wydałaś mnie na świat; we krwi mojej twe łzy płyną.

Sprzeczał się tak ciągle. Aby uniknąć sporów, Sylwan po całych dniach siedział na polu lub w lesie. Przychodziło mu czasem na myśl zrobić wycieczkę do Zawierskich na dni parę, potem tłómaczył sobie tę pokusę jako niebezpieczną—jako niemożliwą. Ostatnie pożegnanie z Zawierską matką—nie było zachęcające.

Dnie przechodziły powoli na tych rozprawach z matką, albo na dumaniach pod sosnami i w polu, na słuchaniu obojętnych opowiadań parobków. Do Brzózek jechać nie miał ochoty i unikał aby się z Bończyną nie spotkać.

Wdowa, przez babunię spokrewnioną, choć zdaleka, z Zawierskimi—mogła mieć o nich wiadomości...

Gdy mu raz ta myśl przyszła i zaczęła go nękać, wkońcu, niemogąc się jej oprzeć, wstąpił do Brzózek.

Bończyna, dla chorej matki, prawie się nigdy z domu nadługo nie oddalała; zastał ją, jak nad wieczór: ubrana w fartuszek, z konewką zieloną polewała w ogrodzie kwiatki. Na głowie miała biały czepeczek, zręcznie ułożony, i przypominała teatralne subretki, których miała żywość, ruchy i figlarną twarzyczkę.

Strój ten domowy bynajmniej jej nie zmieszał; wiedziała, że było jej w nim do twarzy—powitała głośno i ochotczy rzadkiego gościa, rzuciła konewkę w ganku i, nieodpasując fartuszką, wprowadziła go do salonu.

Sędzina, której się Horpiński miał szczęście

podobać, teraz, jak zawsze, przyjęła go bardzo serdecznie, wymawiając, że tak rzadko je odwiedzał. Mówiono, naturalnie, o wspólnych znajomych i Bończyna wspomniała Zawierskie.

— Pisała mi Misia, że pana do siebie na wieś zapraszała—odezwała się—ale mało ma nadziei, abyś jej prośbie zadość uczynił.

Pokręciła główką.

— Dziś-bys się pan biednej Zawierskiej więcej przydał, niż kiedykolwiek—dodała—bo ma wiele trosk i kłopotów.

— Z jakiego powodu?—podchwycił niespokojny Sylwan.

— Dzieją się rzeczy prawdziwie nie do wiary—mówiła Bończyna dalej.—Mieli tak nieograniczone zaufanie w Pruszczycu. Nie ulega wątpliwości, że był najpocziwszym z ludzi, ale go, jako gospodarza i człowieka do interesów, przechwalono. Umiał tylko tak sobie zawsze dawać rady, że pani Zawierska miała podostatkiem na wszystkie fantazy.

Teraz Pruszczyca zmarł nagle i okazało się po rozpatrzeniu, że majątek i interesa są w stanie oplakany.

Wiadomość ta poruszyła wielce Horpińskiego, ale mu się w nią wierzyć nie chciało.

— Musi w tem być wiele przesady — odparł.—Zły stan interesów przez lat wiele utaić się nie daje. Pruszczyca wszyscy chwalili, patrzo na jego czynności, nikt nie posadzał, aby Zawierskich interesa miały cierpieć. Miano je za bardzo bogate.

Wtem sędzina przerwała:

— Ja jeszcze za życia Zawierskiego słyszałam, że na majątku długi były znaczne; rachowano na to, że je ten Pruszczyca spłacić potrafi. Biedna Zawierska dla dogodzenia córce nie oszczędzała się wcale.

Westchnęła staruszka.

— Bądźcobądź — przerwał Sylwan—bardzo źle być nie może: z wielkiej fortuny pozostanie mierzalna, a nikt się lepiej do tej zmiany zastosować nie potrafi nad p. Michalinę—oile ja ją znam.

Nie mówiono już potem o niczem więcej, tylko o Zawierskich; Sylwan żywo się zajmował tem i niepokoił.

Na wyjeździe wdówka, żegnając sąsiada, filuternie dodała:

— Spodziewam się listu od Misi—i wiadomości z Warszawy: chcesz pan się co o Zawierskich dowiedzieć—odwiedz mnie, bardzo proszę!

Niespokojny, smutny powrócił do domu Sylwan; przed matką się nie mógł zwierzyć z niczego. Rozważając to, co dawniej wiedział, i to, co mu Bończyna mówiła, Horpiński przyszedł do rezultatu, iż w żaden sposób ruina nie mogła grozić Zawierskim. W najgorszym razie zawiakanie.

Byłby się wybrał może, ale do pomocy — nie czuł się na siłach wcale. Ani gospodarzem, ani do interesów stworzonym nie był. To, co sam miał, utrzymywał skrzętnie, ale w sposób najprostszy—rachubą i oszczędnością.

Kilka tygodni upłynęło; walczył z sobą ciągle, niechęć zbyt prędkim ukazaniem się w Brzózkach wydać się z tem, jak go los tych pań obchodził; wostatku pojechał.

Dzień był pochmurny; Bończyna u krzesła matki czytała jej powieść Dumasa. Obie, znuzone samotnością, przywitały zbawcę radośnie.

Lecz i sędzina i wdówka miały wyraz twarzy przygnębiony i chmurny. Zaczęto od wpływu pogody na pola i urodzaje; lecz żywa Bończyna natychmiast wygadała się z tem, co je tak zasnuć.

Babunia umarła! Śmierć jej nie byłaby może zbyt wielkiego wywarła wrażenia w Brzózkach, ale następstwa jej: nadzieje dawno żywione zawiodły! Babcia, która miała między dalszą rodziną znaczny swój majątek rozpiąć—a z niego część obiecywała Zawierskim, tyle razy robiła i prze-rabiała testament i kodycyllę że się po jej zgonie żaden ważny nie znalazł. Spadek więc miał wywołać proces i prawdopodobnie dostać się zupełnie obcym, dalekim, nieznanym krewnym.

Dotykało to tak dobrze Bończynę, jak Zawierskich.

— Patrz pan — mówiła młoda pani—nigdy je-

dna bieda nie idzie sama: ciągną się szeregiem, za ręce się wzięwszy.

Zaledwie Pruszczyk zmarł, a tu i babcia nas osierociła—nic nie zostawiając na otarcie łez.

Co do mnie—dodała naiwnie Bończyna—prawda, że trochę rachowałam na zapis babci i byłby mi pożądanym, bo mam dłużki—ale... dam sobie radę. Gorzej Zawierskim, które zapis babki mógł uratować, a zamiast niego zostaje—tylko proces.

—Niekoniecznie go prowadzić mają!—rzekł Horpiński.—Z dobrej woli nie godzi się nic podobnego przedsiębrać, a musu w tem niema.

Bończyna się rzuciła na krzesło.

—Mylisz się pan!—zawołała.—Prawnicy mają w tem interes, aby do processu namówili. Jeden z Warszawy tu do mnie przyjeżdżał, zachęcając, abym się o moje prawa upomniała. Tożsamo zrobią z Zawierskimi; a że matka zakłopotana teraz, łatwo ją więc nadziejami uwiodą.

Po tym wstępie Sylwana odpadła ochota do rozmowy: pograżył się w myślach. Teraz, gdy te panie miały tyle niespodzianych trosk i kłopotów do zniesienia, nie wypadałoż mu—choć na chwilę się tam stawić i ofiarować, acz niedołężną, pomoc swoją?

Milczący wyjechał z Brzózki—jechał do dworku bardzo długo, rozmyślając, a gdy go matka niespokojna przywitała w progu, rzekł jej cicho, że—choćby nie chciał, na czas jakiś musi się udać do Warszawy.

Wiesz, przy której znajdowała się główna rezydencya Zawierskich, zwała się Zaborowem—ja samą nieboszczyk chciał przechrzcić na Złotolin, ale się to imię nie przyjęło. Osada była bardzo stara, a i dwór przerobiony i upiękuszony musiał już stać wiek cały.

Rodzina można, choć ją często sprawy publiczne, od których się nikt nie uchylał, powoływały do stolicy—kochała to swe prastare gniazdo, i każde pokolenie do upiękuszania jego się przyznawało. Przepysznie więc i magnacko wyglądał Zaborów.

Pałacyk murowany, w wieku XVIII-ym przerobiony, miał wybitny charakter czasu—późniejsze przybudówki i restauracye coś fantastycznego uczyniły z niego. Malowniczo wznosił się na pagórku i tle ogrodu, który się zachował napół francuzkim, pół angielskim.

W ostatnich czasach kwiatami go ubarwiono.

Nieboszczyk Pruszczyk starał się o to, aby nawet pod niebytność tych pań nic tu zaniedbanem nie było. Podwórce, ogrody, cieplarnie, park utrzymywano wielkim kosztem nadzwyczaj troskliwie.

W pokojach każdego czasu przybywająca Zawierska znajdowała wszystko gotowem na jej przyjęcie. Naturalnie, służba też liczna utrzymywana być musiała dla tego porządku, co niemało kosztowało.

Pruszczyk—jak się zdaje—do ostatniej godziny ludził się tem, iż interessa cudowną jakąś operacyą podziwną potrafił. Tań on jaknajstaniej stan istotny interesów od śmierci Zawierskiego poczynając, całą baczność zwracał na to, aby nigdy na niczem nie zbywało paniom: oszczędzał im troski—i śmierć nagle schwyciła go, gdy może najbardziej się powikłały interessa, a on najokrutniej gryzł sięniemi.

Wiadomość o tem, po śmierci Pruszczyka—jak piorun spadła na biedną Zawierską, która tylko kochać i płakać umiała. Likwidacya była tak niespodziana, iż w początkach jej uwierzyć nie chciano.

Razona tem Zawierska naprzód położyła się do łóżka i odchorowała cios ten okrutny. Ona sama nie czuła się nim dotkniętą—ale—Misia! jej ukochane, jej jedyne dziecko!

Napróżno Michalina, na której wrażenie słabe uczyniła katastrofa—starała się matce wytłómaczyć, że się zupełnie z losem swym pogodzić potrafi: Zawierska rozpacziała!

Zebrana rada familijna po rozpatrzeniu wszystkiego zawyrokowała, że częścią dobrą znaczną sprządać było potrzeba, aby Zaborów ocalić. Do tego miejsca przywiązane były najdroższe rodziny pamiętki; rozstać się z niem—ani można było pomysleć.

Lecz szło za tem, że Zaborów, sam pozostając, nawet przyzwolicie na tej stopie do jakiej się nawykło, utrzymanym być nie mógł. Ogrody, budowy, służba—kosztowały bardzo wiele.

Nadzieja spadku po babci rzucała jakiś promyk jaśniejszy na przyszłość—śmierć staruszki ją zniszczyła.

Namawiano w istocie Zawierską do processu, ale ona się go obawiała, a Michalina była mu wręcz przeciwną. Nic jeszcze w tym względzie nie postanowiono. Wszystko było w smutnem zawieszeniu, wyczekiwaniu—nierozwiązane dotąd. Matka chorowała i płakała, Misia pocieszała ją i nie traciła ducha.

O posiadanie Zaborowa rozbijało się wszystko. Postradać go—było boleścią niewysłowioną, zachować prawie niepodobieństwem, bez zmian, które miały nieustannie upadek przypominać.

Więcej niż kiedy wyrzucała sobie matka, iż nie ublagała córki, aby wyszła za Nitosławskiego: bogaty pan byłby z łatwością długi pospłacał i piękną starą posiadłość ocalił.

Na Michalinie to pierwsze w życiu dotknięcie ręki losu uczyniło tak mało widomego wrażenia, jakby do niego była przygotowana. Kilka dni chodziła jakby ogłuszona i zdrtwiała nieco—potem dźwignęła się nagle, energicznie, i zapomniawszy o sobie, czuwała nad matką tylko.

Jej obojętność i spokój przyczyniły się też wielce do uspokojenia Zawierskiej. Z przyjaciół mnogich, z dalekiej rodziny, nikt nie zawiódł zupełnie, ale też nikt nie był przygotowanym, ani zdolnym do ofiary wielkiej.

Radzono, przyjeżdżano, obmyślano środki mogące odwieść katastrofę, ale niezapobiegające jej.

P. Michalina była za odważnem i stanowczem postępowaniem, Zawierska—za temporyzacją. Wierzyła postaremu w jakiś cud, zwrot, w coś niespodzianego. Śmierć babci, która testamentu nie miała czasu legalizować—przybiła zupełnie Zawierską.

Smutek więc panował w tym, niedawno jeszcze tak świetnie i pańsko wyglądającym, Zaborowie. Życie nie miało czasu się zmienić jeszcze; pozostało na dawnej stopie. Mówiono o oszczędnościach—lecz rozpocząć ich nikt nie miał siły.

Męskiej rady i dłoni potrzeba było gwałtownie, ale Misia, która niedawno obłąkaną była przez wzdychających do jej ręki—znalazła się osamotnioną nagle; Zawierska także. Potrzeba było wzywać i prosić, aby kto przybył z radą.

Oskarżano Pruszczyka niefortunliwego, narzekano bez miary—i na tem się kończyło.

Zawierska, chociaż z łóżka wstała i przechadzała się, wybladła i zmierzowana—była jeszcze słabą; Misia unikała nawet mówienia z nią o interesach. Na rozmaity sposób potajemnie starała się coś zrobić, aby przynajmniej nie pogorszyć położenia. Szukała człowieka do pomocy matce i sobie—znaleźć go nie mogąc.

Taki tu był stan rzeczy, gdy jednego dnia zrana oddano Misi bilet, na którym wyczytała nazwisko Sylwana Horpińskiego.

Porwała się z okrzykiem, wołając, aby natychmiast proszono go do salonu, a sama coby prędzej zaczęła się na ranek ubierać.—Matka, która już wiedziała o gościu, przyszła do niej, niepewna jeszcze: czy się ma cieszyć czy trwożyć.

Na twarzy Misi malowała się radość.

—Mamciu—rzekła, całując ją—jestem pewna że ten mój—jak go ty nazywałaś—protegowany, będzie nam wielką pomocą. Przeczuwałam jego przybycie. Proszę cię, przyjmij go dobrze.

Sylwan, czekając, chodził po wielkim salonie pustym, którego okna na ogród i ukwiecony ganek wychodziły... Wszystko tu z dawnych czasów tak było nietknięte, wspaniałe, poważne, iż mu się wierzyć nie chciało, że się to wstrząśnięte już chwiał mogło.

Zaszeleściła sukienka—i Michalina pierwsza wbiegła żywo z wyciągniętymi do gościa rączkami, z twarzą prawie wesołą, choć na niej widać było ślad cierpienia.

Zmierzyli się oczami.

—Prawdziwy dowód przyjaźni—zawołała—gdy się przybywa, jak pan—w czarną godzinę! Wszak pan już wiesz?

Horpiński głowę pochylił.

—I wistocie dlatego przybyłem—rzekł—aby, choć wielce nieudolne, ofiarować usługi moje. Na coś zawsze się przydać mogę.

Michalina wskazała mu krzesło.

—Naprzód się nam pan przydasz bardzo, bo będziemy mieli z kim razem boleć... i obmyślać, co na przyszłość postanowić mamy—zaczęła Michalina.—Nieszczęście to, które matkę moją szczególnie boleśnie dotknęło—spadło na nas, jak grom z jasnego nieba, i dowodzi, że przy najlepszem sercu i chęciach można zgubić—gdy się pragnie ocalić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Czerwcu 1884 r.

Chociaż niedawno przesłałem pismu waszemu kronikę z ostatnich u nas tygodni, wypada mi dopełnić mój list ostatni szczegółami odbytego już pomyślnie IV zjazdu Przyrodników Polskich. Wiadomo, iż owo zebranie oddawna już zamierzano odbyć się w starym Przemyśławów Grodzie. Poznań miał być punktem zbornym naszych przyrodników jeszcze w r. 1870, atoli wojna francuska przeszkodziła uskuteczeniu owego projektu. Później naznaczono Wrzesień r. 1883 na termin zjazdu poznańskiego, ale nie chcąc wchodzić w kolizyję z krakowskim świętem Sobieskiego, odłożono ostatecznie wiec przyrodników do pierwszych dni Czerwca r. b. Z pewną obawą czekaliśmy w murach naszej stolicy upragnionych i od tak dawna oczekiwanych gości, lękając się: czy zdołamy przyjąć i podjąć ich jak należy. Brak poparcia ze stron władz miejscowych i miejskich utrudnia każde podobne przedsięwzięcie; wszelako obustronna dobra wola, interes i ofiarność ogółu, potrafiły wyrównać braki, przełamać trudności i nadać całemu zjazdowi osobny charakter bratniej, serdecznej, i rodzimej gościnności. Wspólne wycieczki, uczty i zabawy urozmaicały dnie, z kądowną nader pracowicie spędzane, w pojedynczych sekcjach, których referaty dają plon obfity wszystkich najnowszych postępów nauki lekarskiej i przyrodniczej. Zapowiedzianych odczytów było przeszło sto, ale tak treściwie i zwięźle każdy przedmiot został opracowany, iż krótki czas starczył na wygłoszenie i wysłuchanie tak znacznej liczby wykładów specjalnych. Mimo skromności i życzenia, aby zaniechano wszelkich osobistych owacy, patriarchy polskiej okulistyki, professor Szokalski, ciągłym był przedmiotem hołdów i przewodniczył całemu zebraniu, uznającemu jednomyślnie, iż mu się „i z wieku i z urzędu ten zaszczyt należy“. Na wice-prezesów powołano d-ra Majera, prezesa Akademii umiejętności w Krakowie, hr. Augusta Cieszkowskiego, prof. Dybowskiego i d-ra Żulińskiego z Serowa, d-ra Małeckiego z Poznania, prof. Rydla z Krakowa i dwóch uczonych z Pragi: prof. Maisnera i prof. Janowskiego. Sekretarzami zaś wybrano czterech z różnych, dalekich stron uczestników zjazdu, jednego (d-ra Merczynga) z Petersburga, drugiego z Kijowa, trzeciego z Krakowa, czwartego wreszcie (Reichmana) z Warszawy.

Szeroko bowiem i daleko sięgnęły zaproszenia poznańskiego wydziału gospodarczego: znaleźli się goście z różnych stron z Prus Zachodnich i Odessy; obecność zaś i liczny udział Czechów, tak stwierdzających coraz serdeczniej i szczerzej pobratymstwo z nami—dodawała uroku i znaczenia całej uroczystości. Poważny ich zastęp uczestniczył w obradach, a nieprzeliczone czeskie telegramy wymownie świadczyły o zespoleniu rąk bratnich w miłości plemiennej i wspólnem zamięlowaniu nauk. Oczywiście, owi czescy goście byli przedmiotem osobnego uczenia. A gdy przy wspólnej biesiadzie radca zdrowia, dr. Kaczorowski poczesku wznosił na ich cześć wymowny toast, przyczem muzyka zagrała hymn: *K' de dom mój*, sercem czeskim tak drogi, entuzjazm nie

znał granic i splatające się pobratymców ręce w nierozdzielny łączyły się uścisku.

Osobne delegacje komitetu gospodarczego witały na kolei przybywających różnemi pociągami gości. Polscy obywatele naszego miasta przysposobili kwatery dla zapowiadanych przyrodników. Ogólne posiedzenia w liczbie dwóch odbyły się w teatrze polskim, specjalne zaś sessye w przeróżnych zwołano miejscowościach: w sali Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w Pałacu Działyńskich, w Bazarze, i t. d., co mimo niedogodności, przy porządku i praktyczności urządzeń, wybornie skutecznym się dało. Zjazd postaropolsku, jak ongi sejmy i wiece, — rozpoczął się od uroczystego nabożeństwa w Kaplicy Królewskiej przy Katedrze poznańskiej, gdzie złożone prochy Mieczysława i Bolesława Chrobrego grobem swym upamiętniają kolebkę naszej historii. Otworzył zjazd i zagałę pierwsze ogólne posiedzenie zasługujący choć młody nasz oftalmolog, dr. Wicherkiewicz powitał zebranych, senior obywateli miasta, p. Antoni Krzyżanowski.

Nie będę tu opisywał przebiegu każdego dnia wycieczek do Żabikowa, Kruszwicy i Gniezna, ale sądzę, że bardziej czytelnikom dogodzi pokrótka wiadomości o niektórych ciekawszych i ważniejszych odczytach. Czcigodny professor Szokalski dwukrotnie się odzywał do licznych zastępu słuchaczy. Najpierw przedstawił stan nauk przyrodniczych w kraju naszym: badania porównawcze przez długie wieki spały u nas, żyliśmy tylko pożyczanym u obcych plonem cudzych obserwacji. Za Stanisława Augusta pierwsze na tem polu pojawia się przebudzenie, ale dopiero w okresie ostatnich lat dwudziestu, mniej więcej od założenia Akademii Umiejętności w Krakowie a Szkoły Głównej w Warszawie, ruch indywidualny nauki polskiej zaczyna nie ustępować bynajmniej pracy innych krajów i postęp widoczny a szybki wynagradza sownie dawne zapóźnienie, „a jak nie rachujemy dziś już na obce sympaty lub pomoce, tak też nie rachujemy już i na obce rozumy“. To zakończenie pierwszego odczytu sędziwego profesora huczne wywołało oklaski; w drugim, z delikatną wiedzioną uprzejmością, obrał sobie za przedmiot postać Jędrzeja Śniadeckiego, rodem ze Żnina, a więc ozdoby naszej dzielnicy. Professor Króweński ciekawie podniósł prawa atawizmu w przeznaczeniach ludzkich. Lwowski inżynier Syroczyński wykazał postęp górnictwa galicyjskiego, głównie za przyczyną energicznego działania Marszałka Zyblikiewicza. Jednym z najenergiczniejszych uczestników zjazdu był niewątpliwie professor Wszechnicy Jagiellońskiej, dr. Rostafiński. Ożywił on dyskusję, przedstawiał owoc własnych spostrzeżeń, zagrzewał serca ognistą wymową i pięknym dla nauki zapalem.

Zpośród odczytów, które i w nieprzyrodnikach żywy obudziły interes, wspomnijmy głos d-ra Tadeusza Żulińskiego „O przeciążaniu umysłów młodzieży w dzisiejszem szkolnictwie.“ Kwestya ta głośnie występująca w obecnych stosunkach, znalazła w d-rze Żulińskim wymownego oskarżyciela. Ramy korespondencyjne nie pozwalają nam przytoczyć wszystkich słusznych motywów i wniosków prelegenta. Wspomnijmy zdrową jego radę, aby dzieci przed 7-mym rokiem nie oddawać do szkół, a liczbę godzin stosować do wieku i zdrowia, przegradzając je wytchnieniem, rozrywką, lub zajęciem ciała, choćby nawet rąbaniem i pilowaniem drzewa, jak to bywa w Anglii. Wszakże Gladstone czerstwą swą sędziwość utrzymuje po części i ćwiczeniami ciała! Nie byłby zdolnym kierować nawą państwa, gdyby codziennie w lesie nie zwałił drzewa, nie wyrąbał jakiego pnia. Dr. Żuliński i w pedagogicznym kształceniu nauczycieli zaleca osobny względ na obznajmianie ich z zasadami higieny. Ale ze wszystkich wniosków postawionych przez prelegenta najlepiej nam trafił do przekonania ten, którym podnosi myśl, aby zaniechano tak zwanych egzaminów dojrzałości czyli matury, zastępując je egzaminami z roku na rok, przy zmianie klasy, z uwzględnieniem raczej ogólnego umysłowego rozwoju ucznia, aniżeli pamięci i przypadkowej najczęściej trafności odpowiedzi. Projekt ten, zdrowy i korzystny, zasługiwałby na poparcie i prze-

prowadzenie w nowoczesnem szkolnictwie, które z wielu względów dziś ciała i ducha łamie i przegniata nieracjonalnym ciężarem.

Pod rozległą firmą przyrody znalazło się miejsce i na rolnicze studia, i na archeologiczne badania. W rzedzie tych ostatnich na osobną wzmiankę zasługuje ciekawa rozprawa p. Jazdzewskiego o urnach malowanych, znalezionych w różnych stronach naszego kraju, a noszących aryjskie znaki szwastyki i trykwatry — co by je odnosiło do IV-go wieku przed Chrystusem i świadczyło o stosunkach z Azyą, jakkolwiek uważać można znalezione okazy za wyrób miejscowy. Dr. Szulc w innej znów rozprawie zastanawiał się nad znaczeniem etnograficznem grobów pogańskich ze szkieletami na południe od Baltyku spotykanych, w których uczeni naprzemian germańskie i słowiańskie upatrują szczątki. Tymczasem sekcyja chemiczno-farmaceutyczna obradowała pod przewodnictwem d-ra Lilpopa z Warszawy nad projektem ustalenia zasad słownictwa chemicznego, wedle referatu d-ra Znatowicza, sekcyja zaś rolnicza rozbiierała choroby ziemniaków i środki zapobiegania szzerzeniu się zarazy wśród tej dobroczynnej rośliny. Praktyczny bowiem kierunek cechował obrady tego rocznego zjazdu, i ztąd tem obfitszego po nim należy się spodziewać plonu.

Wieczorem — to przedstawienia w teatrze, to ucztę bratnią, to nareszcie bal wydany na cześć przyrodników w suto oświetlonej i przybranej Sali Bazarowej, rozrywką zamykały dzień pracowicie przebyty. Wszyscy uczestnicy zjazdu odczuwali miły nastrój tych chwil bratniego zetknięcia i naukowego podniesienia. To też, żegnając się wzajemnie, każdy chętnie powtarzał serdecznie: Do widzenia! na przyszłym za lat kilka V-tym zjeździe we Lwowie. Gdy zaś przy wspólnej wieczery dnia ostatniego, hr. August Cieszkowski w przydłuższej mowie głęboko pomyślanej, jak każde słowo, co z ust tak poważnych wychodzi, wzniósł tradycyjny toast: *Kochajmy się!* piękne jego przemówienie zbudziło echo chętnie i gotowe w sercach zagrzanych dwójką miłością: nauki i spółbraci, i temi dwiema najsilniejszymi dźwigniami zachęconych do coraz ochotniejszego trudu i szerszego poświęcenia.

Osobne czasopismo, wyszłe w pięciu numerach podczas trwających obrad p. t. *Dziennik IV-go Zjazdu Przyrodników* — pozwoliło i nieuczestniczącym w wiecu zapoznać się z onego działalnością i wybitniejszymi odczytami lub wnioskami. Po zamknięciu zaś uczonego zebrania piastowska gościnność Kujawiaków wezwała jeszcze znaczną część przyrodników do objechania pamiątkowych miejscowości naszej dzielnicy: Gniezna i Kruszwicy, gdzie na Wyspie Goplańskiej sute dla nich zgotowano przyjęcie. Uczestnicy zjazdu znaleźli jeszcze dość czasu, aby zwiedzić szczegółowo miasto nasze, szpitale wzorowo urządzone, pamiątki historyczne, zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W tej ostatniej wędrowce przewodniczył im hr. Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström, a świeży dar Kossaka, trzech akwarell ilustrujących powieść Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*, z postaciami Skrzetuskiego, Zagłoby i Podbięty, — miłą zgotował niespodziankę zwiedzającym galerią artystów polskich. Opodał w sali pałacu hr. Działyńskich, chociaż chwilowo goszczący w mieście naszym, Skarga Matejki gromadził ustawicznie licznych wielbicieli tego arcydzieła mistrza. A choć kilka utworów tegoż pędzla, rozwieszonych w pobliżu, odrywało razporaz uwagę widzów, to ku *Wernyhorze* przedstawionemu tu z tytaniczną siłą Michała Anioła, to ku portretom, wśród których perłą błyska chłopczyk na kucyku, — rzewne jednak jakieś pokutne wrażenie i uczucie wciąż myśli i oczy zwracało ku *Kazaniu Skargi*, pochylając przed nim czoła w skrusze i podziwie zarazem.

Rozjechali się już przyrodnicy, ale ci przesłanicy sztuki zostają jeszcze przez pewien czas w uciszonym mieście naszym, a głos Skargi zda się płynąć wzdłuż osamotnionych ulic i zamarłych placów błogosławieństwem za pracę *na* pracę, której się jego lud oburącz dziś chwycił, zrywając z tradycją plemiennych wad lenistwa, próżno-

ści i próżniactwa, które ten mąż święty niegdyś z taką siłą wymowy gromił.

KOBIETA W ANGLII.

(Dalszy ciąg)

Pogarda formy jest bardzo niebezpieczną rzeczą, — pisze M-rs Linn Linton, w dalszym ciągu swego obrazu nowoczesnej panny angielskiej. W kim mieszka duch rzeczywiście czysty i szlachetny, ten ma wrodzony, naturalny wstręt do pozomego, lichego pozor, już nawet nie przez wzgląd na ludzi, ale przez własne umiłowania i i nienawiści swoje. Kobieta rzeczywiście skromna z konieczności przedstawia się ludziom skromnie, bo treść tej cnoty łączy się nierozdzielnie z układem zewnętrznym, i ta, która się pod tym względem w fałszywym świetle stawia, niech się nie dziwi, niech się nie obraża, gdy ją ludzie z pozorów sądzić będą. Gdzież jest zwierciadło czarnoksiężkie, któreby obrazy dusz, obrazy serc odbijało, a przytem po co ta maskarada niedobra, przybieranie nieprawdziwego pozor? Kto mówi, że nie dba o sąd ludzi, błądzi, i najczęściej nieprawdę powiada, bo niezmiernej już pychy, niezmiernej zarozumiałości byłoby to dowodem, gdyby ktoś rzeczywiście społeczeństwem, ludzkością, a choćby tylko całem otoczeniem swoim tak gardził wyniosłe. Uczucie podobne — smutne, zgryźliwe uczucie, po wielkich zawodach, po wielkich nieszczęściach, rodzące się niekiedy w piersi mizantropów, jest prawie nie-naturalnem w młodości, bo wyklucza konieczne przymioty, konieczne młodości cnoty: młodą wiarę w idealne strony życia, miłość ludzi, świeżość serca. To też autorka angielska chce — i słusznie — widzieć w tem raczej fanfaronadę, ale fanfaronada to najgorszego gatunku, będąca wpływem skrzywienia pojęć moralnych, i młoda dziewczyna która opinią wyzywa, nie ma prawa skarżyć się potem, skoro usłyszy o sobie sąd niesprawiedliwy. Nie każdy może i chce bez jakiegoś szczególnego interessu do głębi rzeczy zstępować, i jest poniekąd w porządku, sądząc ludzi tak, jak się przedstawiają.

Bardzo często, najczęściej nawet, owo lekceważenie, owo niedbanie niby o opinię, jest chęcią wyróżnienia się, ściągnięcia na siebie uwagi, — jest kokieterią schowaną zręcznie, a raczej niezręcznie, bo większość prawdy się domysła i właśnie dlatego nieprzychylny sąd wydaje. Brak tej szlachetniejszej, wyższej, delikatniejszej skromności, która się nie na samych materyalnych faktach gruntuje, tkwi już w tem, jeżeli młoda panna, dla jakichby celów pobocznych pozor mało skromny przybiera. Już jej myśl, już jej dusza skromną nie jest.

Ostatecznie odpowiedzialność spada na matki, które córki źle chowają, i M-rs. Linn Linton poświęca dwa rozdziały książki *matce nowoczesnej: „Modern Mothers“*. Miłość matczyńska — pisze — to uczucie, które aż dotąd świat uważał za najsilniejsze w piersi kobiecej, „równie święte, jak jest mocne“. Przecież obecnie serce kobiety angielskiej bardzo zubożało pod tym względem. Uganianie się za zabawą, za przyjemnością, pragnienie wygody, życia bez troski, doprowadzać zaczyna do tego, że kobiety przestają widzieć w dzieciach cel życia, mieć ich nie pragną, nie chcą, imacierzynstwo przedstawia im się jako pewien rodzaj nieszczęścia: jako trud, kłopot, powinność uciążliwą, która istnienie ich skrepuje. Ale jest to już takie zatracenie uczucia naturalnego, więc taka już wyrodność, takie zimno serca i egoizm głęboki, że jeszcze w Anglii wiele takich kobiet niema, i Amerykanek — to głównie piętnuje ta dzika oschłość uczuć. Jednak myślicielei przestraszają już i w Anglii okazujące się symptomata podobnego wyradzania się kobiety z jej typu moralnego. Lecz jeżeli to wyjątkowość jeszcze, przypadająca na dział najgorszych, jako ogólniejszą a smutną cechę naszego czasu, wymienia autorka to, że matki nowoczesne nie umieją i nie chcą wychowywać same dzieci swoich.

Zbytek we wszystkim, a zarazem niegospodarność dzisiejszej kobiety, niezajmowanie się osobiste, pracowite, domem swoim, sprawia, że dzieci już nie mogą nazywać się błogosławieństwem Bożem. Budżet domowy niezmiernie się obciąża, i poczynając od średnio zamożnej, do bardzo bogatej rodziny, urodzenie dziecka narusza ekonomiczną równowagę rodziców. Mamka najpierw, potem niania, szwaczka, bona, guwernantka: to towarzyszący dziecku orszak, który zwiększa wydatki w stosunku niebywałym niegdyś w Anglii. Dawniej kobieta sfer najwyższych uważała moralne i fizyczne wychowanie dziecka za swój najświętszy, i razem najmilszy obowiązek; dziś go nie spełnia nawet w klassach średnio zamożnych, a często spełniać nie może, bo rozpieszczona, wydelikatniona nadmiernie, wyniszczona siadywaniem po nocach, nie ma sił potrzebnych na to.

M-rs Linn Linton dodaje przytem, że dziś matki uważają wychowanie dziecka w jego szczegółach za rzecz podrzędną i tak niską, że każda, której starczy na to, może w przekonaniu swoim bez szkody i ujmy żadnej zdać to na obce, płatne wyręczytelki. Ale ona zdania tego nie dzieli i surowo protestuje przeciwko niemu. Może kobieta dla nauki, dla sztuki, dla jakiejś idei wysokiej — dla dzieł miłosierdzia chrześcijańskiego, lub pewnych umiowań swoich, pewnych zadań społecznych, od małżeństwa się cofnąć, i nikt jej tego za złe brać nie będzie. Przeciwnie: przed siostrą miłosierdzia schylają się głowy jak przed królową, i są, tak u mężczyzn, jak u kobiety takie wzniosłe stany ducha, które im na wysokie służby ludzkości namaszczenie dają; lecz wtedy nie łączy się z losem swoim losu innych, i gdy kobieta raz za mąż pójdzie, już jej nie wolno po takie obowiązki sięgać, które odbierają ją rodzinie. Ale nie prawda, jest, aby wtedy jej stanowisko — stanowisko żony, gospodyni, miało być niższem, poniżajacem tę, która wyniosłej myśli i czuje. Jest to wielkiego znaczenia postereunek obywatelski, który zajmuje. Świat może się obejść bez bardzo wielu rzeczy — pisze M-rs Linn Linton, — ale nie może się obejść bez dobrych żon i matek: „W historii narodów te epoki, w których kobiety żyły więcej w towarzystwie, niż u ognisk domowych, były zawsze czasami narodowego poniżenia i upadku moralności“.

Wspomnijmy na czasy saskie, na opokę Stanisława Augusta, a nie zaprzeczmy temu zdaniu Angielki.

Tylko niezamężna i bezdzietna może sobie według chęci lub wewnętrzznego głosu powołania dobierać, pisze dalej Angielka. — Małżonce-matce nie wolno tego czynić i wtedy nawet apostołstwo zasługi jej nie skarbi. Naturalnem miejscem jej apostołowania jest rodzina.

Kobiety naszych czasów tak gospodarstwu domowemu, jak wychowywaniu dzieci dają osobiście tylko nadzór: „superintendancę“ i wedle ich przekonania tak jeden, jak drugi z tych działów pracy kobiecej nie wymaga nic więcej. Ale zostawiając na stronie to, co możnaby powiedzieć kobiecie o ważności i doniosłości osobistego gospodarowania, osobistego trzymania steru ekonomicznych spraw rodziny, zapytaj jej trzeba: czy obowiązki miłości mogą się wykonywać przez prokurację? Gdyby miłość macierzyńską wazono dziś wedle skali ofiar i poświęceń, wedle wychowawczej pracy matki dawniej, trzeba by powiedzieć tę rzecz smutną, że dziś matki mniej kochają: że nie kochają tak gorąco jak niegdyś, a jednak z drugiej strony widzimy, że nigdy/dzieci tak kosztownie utrzymywanymi nie były, nie były nigdy tak otaczane wygodami wszelkiego rodzaju. Czy to nie jest chęć kompensaty, powstająca przez instynktowne zaniepokojenie uczucia macierzyńskiego? Matka niedająca dziecku swemu poświęceń osoby własnej, tknięta jest w serce przez jakiś głos cichego wyrzutu sumienia i chciałaby niedobór uczucia zastąpić, wynagrodzić czemś innem. Kosztowność, wytworność dzisiejszych zabawek dziecinnych, strojność dziecinnych ubrań, nieznaną, niewidzianą dotąd nigdy, w żadnej epoce zbytków — strojność tak szalona, tak nierozsądna, jak szalona, nierozsądna jest strojność matek — moralnie i fizycznie niezdrowe, psujące, a także

też nieznane dotąd nigdy bale, pikniki dziecinne, i ten niezmierny zachód koło dziecka, jego osobista ważność w domu — wszystko to jest wynalazkiem dzisiejszej doby, nowością w obyczajach.

Dzieci chowały się surowiej i razem chowały się tkliwiej niż dziś — chowały się lepiej, już nawet nie z tego względu, że żadna niania, bona, guwernantka za pracę swoje płatna, takiej miłosnej gorliwości, takiej miłosnej troskliwości, — duszy swej całej tak w wychowanie wlać nie może, jak matka, która kocha, wedle zdania ogółu, uczuciem w kobiecie najgorętszem, i która nawzajem jest przez dziecko najwyżej, najmocniej kochana. Surowość dawniejsza mniej rozpieszczala, mniej wydelikatniała dziecko; zbytków nie ucząc, mniej je psuła, instynkta egoistyczne na wodzy trzymając, hartując więcej ciało i ducha. Lecz serce tkliwiej się do uczuć urabiało, bo dziecko, widząc się przedmiotem nieustannej troskliwości i opieki matki, od niej — od niej osobiście dostając wszystko, co dobrem, miłem mu było, uczyło się kochać ją od pierwszych serca uderzeń. Jej miłości, jej poświęcenia, jej ofiar dla siebie, w zdrowiu i chorobiełożonych, nie zapomniało dziecko nigdy, i często też, wtedy już gdy młodzieniec dorósł, gdy powaga rodzicielskiego słowa, mogła mieć jedynie znaczenie rady dobrej — wobec wzbudzonych namiętności, wobec wiru świata, matka otrzymywała od niego to, czego nikt inny nie byłby wymógł na nim żadną siłą, żadną przemocą.

Dzieci złe — to dzieci złe chowane: dzieci nieposłuszne matce, dzieci matki niekochające, to prawie zawsze dzieci które dość, które należycie kochanymi nie były. Początkowo działa tu instynkt, dziecko małe instynktownie do łona matki się garnie, ale potem rzecz wstępuje w fazę uczucia innego. Darmo rzadko co nam się dostaje i trzeba siać, aby zbierać.

Wpływ matki dobrej, matki wywiązującej się z powinności macierzyństwa, pojętego w jego wyższem, szlachetniejszym znaczeniu przez miłość i moralne, duchowe jej zobowiązania, idzie za dzieckiem — tak za córką, jak synem w świat i nie odstępować go już nigdy. Mrs Linn Linton pisze też, miesząc do słów swoich nieco ironii: „Dawniej utrzymywał się w Anglii *przesąd*, że matki są wysokiej użyteczności w narodzie, że mają do spełniania takie funkcje i obowiązki, bez których społeczeństwo nie mogłoby rozwijać się szczęśliwie — że znaczna część dobrobytu ludzkości w czasie teraźniejszym i przyszłym na nich polega“. Matki owego czasu były też potęgą rzeczywistą, posiadały władzę niezaprzeczoną, wykonywaną przez nie bez skrupułu, jako powinność swoją. Jedną z tych funkcji, uznaną przez ogół za specjalnie należącą do nich, było przestrzeganie młodego pokolenia przed złem moralnem i materialnem, którego dostrzedz, którego poznać nie dawał mu brak doświadczenia, brak wytrawności życiowej. Każda spełniała ten swój urząd społeczny w rodzinie, u domowego ogniska swego, a ziarno, składane do ziarnka, wytwarzało pełność miarki i było to pilnowaniem przez kobietę zdrowia na duchu i ciele przyszłości narodowej. Drugie zadanie matki odnosiło się do tego, aby w otaczającym ją kole umiała utrzymać nastrój przyzwoitości towarzyskiej na tej stopie szlachetnie podniosłej, która nie pozwala rubaszmem, grubem słowem młodej wyobraźni skazić, młodego oblicza zarumienić, przedwczesnej wiadomości złego młodemu umysłowi podać. Kobieta zatem nadawała ton towarzyskości, a matka rządziła córką swoją w domu i poza domem, wiedziała co młoda dziewczyna czyta, słuchała co mówi i co do niej jest mówionem. Dorosła pan na w świat wprowadzona, ulegała niemniej, a przeciwnie więcej jeszcze, tej kontroli macierzyńskiej, bo teraz była tu ona więcej, niż kiedy potrzebna — ulegała jej posłusznie jako władzy dobroczynnej i bezspornej. Dziewczęta miały mniej dumy względem matek, ale za to więcej godności w stosunkach światowych, i nikt niebędący już gburem zupełnym, nie byłby sobie pozwolił opowiadać wobec młodej panny historii skandalicznego wypadku, żartować zbyt lekko i rumienić je słowem zbyt śmiałym. Powaga matki i skromność córki nakazywały zarówno i broniły

od tego, służąc kobiecie, nie tylko na pewną ograniczoną chwilę życia, bo wyrabiało się w ten sposób pewne nawyknienie szlachetne, przez które następnie młoda mężatka nakazywała dla siebie względy podobne, i sama też nie rozprawiała o rzeczach drażliwych, nie dowcipkowała dwuznacznie, pozostając do siwego tem, czem powinna być kobieta uczciwa: szanującą się i szanowaną. Między nią a mężczyzną, mogło być i bywała nieraz przyjaźń; mogła być i bywała zażyłość poufała, ale nie było nigdy kamraderii, tego koleżeństwa niby bez ceremonii, które zawsze wraz z uszanowaniem charakteru kobiety osobie jej ujmuje coś z wyższego, głębszego szacunku.

Słyszeć się dają nieraz głosy kobiet, że los je ograniczył, że kobieta nie ma pola do pracy szerszej, do działania w zakresie wyższym: czy przecie jest małą rzeczą obyczaje społeczeństwa swego podnosić lub zniżać, wytwarzając w ten sposób formę, w której się posąg moralny narodu odlewa?

W szkicu: *Kobieta modna* autorka, podnosząca się tak surowo na dzisiejsze niewieście pokolenie swego kraju, mówi z dumą, że w szeregu tych kobiet, sławnych wśród świata przez sławę smutnej pamięci, nie ma ani jednej Angielki: obok Aspazyi, Julii, Lukrecji Borgia, nie stoi z nich żadna. Anglia przedstawiła światu inny typ kobiety: Florencya Nightingale bohaterko-dzielną, mężną i odważną, a kobieco tkliwa i kochająca obywatelka: oto reprezentacja kobiecego żywiołu w Anglii.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE

Paryż w Maju i Czerwcu 1884 r.

Jest temu lat siedmnaście! Wspomnienia z pierwszej wystawy powszechnej w Paryżu. — Pierwszy obraz Matejki. — Wystawa Sztuk Pięknych tegoroczna; ujemne jej strony. — Smutny stan sztuki we Francji. — Nasi artyści na tej wystawie; „Hold pruski“. — Brand i jego „Trudna przeprawa“. — Chełmoński. — Snycerstwo i Cyprian Godebski. — Sieroty polskie, projekt nagrobka. — Popiersia: Kraszewski z ostatnich chwil w Paryżu. — Unikat rzeźbiarski i Armand Sylvestre, poeta francuzki. — Wystawa Munkaczego. — Przedsiębiorstwo i sztuka. — Mieszanina. — Dwa wielkie obrazy: „Chrystus przed Piłatem“ i „Chrystus ukrzyżowany“. — Wystawa Meissonnier'a. — Splendory sztuki. — Wrażenia i pamiątki.

(Dokończenie)

Przedsiębiorstwo handlowe, dziś, i jak było od wieków, przybiera wszelkie formy, i stara się otworzyć wszelkie drogi, na którychby mogło otrzymać największe zyski. Jednym z najkorzystniejszych pomysłów w dziedzinie sztuki jest handel obrazów. Nigdy jeszcze ceny malarskie nie doszły do podobnej wysokości, jak dzisiaj... Wczoraj właśnie oglądałem u jednego z tu-tejszych handlarzy dwa, piękne, nawet wspa-niałe, jeżeli chcecie, portrety, malowane przez sławnego Franciszka Halsę, szkoły flamandzkiej, za które sam kupiec zapłacił 120 ty-sięcy franków; za jaką więc cenę spodziewa się je odprzedać? zostawiam to rozważde każdego.

W takim usposobieniu publiczności zamożnej — do nabywania malowideł za niesłychane ceny nie dziwnego, że spekulanci rzucili się na nie z chciwością; kiedy sami artyści nawet nie wzdragają się spekulować zawzięcie... Exploatacja artystyczna rzuca się na wszystkie sposoby — jeden z pomysłów dosyć popłatnych — zależy na wynalezieniu artysty z talentem, na otrąbieniu jego sławy *urbi et orbi*, zapomocą dzienników — na zakupieniu jakiego wielkiego szczególnie obrazu, który się obwozi po wszystkich stolicach świata i pokazuje za pieniądze, jako nadzwyczajna ciekawość... Urządzona zręcznie tego rodzaju wystawa nieraz już piękny grosz przyniosła dowcipnemu przedsiębiorcy.

Jedno z tych hałaśliwych, a korzystnie użytkowanych, wystapien, dostało się węgierskiemu malarzowi Munkaczemu. Niczego tu nie

brakło pod względem reklamy. Ale prawda, że jego Barnumem, to jest przedsiębiorcą, był jeden z najwprawniejszych spekulatorów w tym rodzaju, niejaki Sedelmayer, z owej, koczującej Wystawy węgierskiej...

Skoro się raz powiodło — niema powodu, aby się nie powiodło raz drugi i trzeci. — Sedelmayer zażądał więc od artysty, aby mu wykonał drugi podobny obraz — to, co się zowie *pendant*, a dobrze zapłacony artysta nie miał racji odmówić hojnie opłaconego obstarunka.

I w tej chwili mamy tu w Paryżu, w umyślnie zbudowanej sali w domu Sedelmayera — tak nazwaną wystawę Munkaczego. Są to dwa ogromne obrazy: Chrystus przed Sądem Piłata — i Chrystus ukrzyżowany pomiędzy łotrami! —

Wystawa ta, urządzona z całym przepychem i z całą finezyą światła i cieniów — pokazuje publiczności oba te dzieła w najlepszym i w najwłaściwszym świetle, które potęgje niesłychanie wszystkie ich zalety — a zmniejsza i wyklucza wszelki niedostatek i słabą ich stronę. Nie pozali się więc artysta, że mu zepsuto lub zniszczono efekt jego obrazów. Tu interes przedsiębiorcy stanął na równi z wymaganiem sztuki. Związani spółką wspólnych korzyści, otrzymali zadość uczynienie wszelkiej potrzeby i wszelkiemu żądaniu.

Nie mam tu potrzeby mówić obszernie o talencie malarza. Reputacya Munkaczego jest ustalona długim szeregiem znakomitych obrazów. Talent jego oceniono już dawno; sam wasz kronikarz obszernie mówił o nim z powodu pięknego obrazu: *Milton i jego córki*. Dziś więc w krótkich słowach zostaje mi zdać sprawę z jednego, właściwie z dwóch wystawionych obrazów, z „Ukrzyżowania“; bo o *Sądzie Piłata* mówiono już tyle, że nic mi do powiedzenia nie zostaje.

Munkaczy jest to malarz ze szkoły *realistycznej*, ale w najlepszym znaczeniu tego wyrazu. Obie więc te olbrzymie karty z życia Chrystusa Pana nie mają nic wspólnego z natchnionymi obrazami XV a nawet XVII wieku. Chrystus Pan, czy przed Piłatem, czy na Golgocie — to człowiek, nasz brat cierpiący wespół ludzi podobnych sobie, z dodatkiem jeszcze wśród ludzi z tej klasy, którą przyszedł wyzwolić z więzów. Nie trzeba tu więc szukać: natchnienia, poezji, uczucia, religijnego zachwyty ideałów. Są to sprawy ludzkie, a ludzie są to typy ludowe — i przeważnie czerpane ze wspomnień ojczystej ziemi, typy powszednie, pospolite, a nawet zbyt pospolite może.

Chrystus nie różni się od nich, chyba białą szatą jedynie, a ten brak szlachetności w postaciach i twarzach uderza nieprzyjemnie i odbiera wszelki wdzięk wrażeniu, którego doświadczałem my przed obrazami Munkaczego. Nie można nie przyznać artystcie, że okazał wielki i prawdziwy talent. O technice, rozporządzeniu, rysunku, oświeceniu, zbyteczną jest rzeczą rozprawiać, wobec takiego malarza, jak Munkaczy; ale można mu powiedzieć jedno: dlaczego wybrał właśnie przedmiot, którego całe znaczenie i cała istotność jest w duchu i w idealnym pojęciu przewodniej myśli?

Odpowiadając realistycznym wymaganiom swej sztuki, Munkaczy w całym układzie wielkiego obrazu Ukrzyżowania odstąpił, i od wiekowej tradycji, i od chrześcijańskiego uczucia. Trzy krzyże Golgoty są prawie odrzucone na drugi plan obrazu. Po prawej stronie widza, w dali, na zaczerwionych chmurach wzgórzach, stoją trzy krzyże ukośnie, a na głównym planie obrazu rozwija się orszak wracających do miasta rzymskich żandarmów i całego tłumu ciekawej ga-

wiedzi, która zdaje się żywo rozprawiać o tylko co skończonym dramacie stracenia.

Tutaj, jak w *Pretoryum Piłata* ani jednej postaci szlachetnej i pięknej. Za to każda z nich jest prawdziwa i pełna energii. A oprawca wracający z drabiną na plecach, to żywy portret słynnego Wolfa z „Figaro“. Jednym słowem są to piękne obrazy rodzajowe, malowane z prawdziwym talentem, ale niedające żadnego pojęcia o przedmiocie obrazów. Nie ma tu nie tylko religijnego, duchowego uczucia, ale nawet żadnej ścisłości archeologicznej, topograficznej, lub historycznej. Są to sceny jakby z dzisiejszego życia na Węgrzech, tylko, że się ci Madziarowie przebrali za Żydówstwo z czasów przedchrześcijańskich, i to jeszcze w te fantastyczne stroje, praktykowane ongi — na klasycznej scenie teatralnej... Przecież dzięki talentowi i wprawie artysty, nic tu nie razi i nie odstręcza, ale też i nie pociąga i nie wiąże, chyba znakomite zalety techniczne... Nie namaluje tak zapewne pierwszy lepszy praktykant z *Atelier*. Ale też i prawdziwie wielki i potężny artysta znalazłby coś więcej do włożenia nad prostą biegłość ołówka i pendzla.

Najlepszym dowodem tego, cośmy powiedzieli dopiero, niechaj będzie wystawa urządzona również w Paryżu dla dzieł innego realistycznego malarza, Meissonniera. Jest on równie realistą jak Munkaczy, a przecież jakaż różnica pomiędzy tymi dwoma ludźmi? Meissonnier, ten drobnowidz malarstwa, o tyle jest wyższy, nietylko od Munkaczego, ale od wszystkich współczesnych malarzy, ile najlichsza nawet gałązka bzu zerwana na krzaku jest wyższą od najdoskonalszego jej naśladownictwa, przez najbieglejszego z malarzy kwiatów...

Czemu? i z kąd to pochodzi? Pochodzi to ztąd, że sumienny artysta, miłośnik prawdy i natury, nie poczyna sobie z niemi, jak ze swą własnością; nie chowa do kieszeni, co mu się zdaje zbyt cennym, nie obchodzi tego, co jest zbyt trudnym do oddania; ale cierpliwie, mozolnie, a z całym wysileniem pojętności i wiedzy, stara się do nich tak zbliżyć, aby już nie było różnicy. „Geniusz jest to summa olbrzymiej pracy, oddana w ręce wielkiej inteligencji“ — powiedział Napoleon; dotykającym dowodem tej prawdy są dzieła Meissonniera.

Aby zgromadzić te rozrzucone po całym świecie bogactwa; aby urządzić wystawę godną zasługi mistrza — udano się do wszystkich znanych posiadaczy jego obrazów. Wielu bardzo, szczególnie z tutejszych mieszkańców, chętnie się przyczyniło do skompletowania tego rzadkiego zbioru. I nne zaś, chociaż ta wystawa jest zaasekurowaną na 5 czy 6 milionów, chociaż sam mistrz jest na czele tego stowarzyszenia, nie chcieli ani na chwilę się rozstać z posiadaniem skarbem i odmówili udziału. W tej liczbie jest znany bogacz amerykański Vanderbilt, który posiada dwa czy trzy obrazy mistrza — nie można mu mieć tego za złe. Przewozić je z Ameryki morzem, łatwo jest narazić na stratę; można zapewne zaasekurować na grubą sumę, ale w takim razie, assekuracja sama drogo kosztuje, a potem, jak mówił sam p. Vanderblitt — Gdyby okręt zatonął? Obrazy moje zgina — zapłacą mi, przypuszczam, milion lub dwa — tych nie potrzebuję, a nieoszacowane skarby moje stracę niepowrotnie!...

Pomimo wszelkie trudności zebrało się więcej niż sto obrazów. W tej liczbie sławny obrazek, znany pod nazwiskiem *Bójki* (une Rixe) — malowany w 1867 r. Znajdował się on na wystawie powszechnej, gdzie, go widząc, królowa angielska, zachwycała się niezmiernie. Cesarz Napoleon ka-

zał go zakupić u malarza (za 70,000 fr.) i posłał w upominku królowej. Znany ze sztychów i fotografii, dziś po raz pierwszy ukazuje się po wtórnie we Francji. Wielkiej znakomitości dzieło! Potem Napoleon I. na koniu (grisaille). Śliczny Napoleon III w bitwie pod Solferino.

Alle prawdziwe klejnoty są to owe maleńkie, kilkocalowe zaledwie obrazki o jednej, dwóch, najwyżej trzech postaciach. Wiadomo, że to jest rodzaj, w którym ten mistrz celuje. Każdy taki obrazek jest to arcydzieło pod względem rysunku, układu i harmonii kolorytu. Tu nietylko postać, wyraz twarzy, ale najmniejszy, najdrobniejszy szczegół — są schwyczone żywcem. Najczęściej są to osoby w kostymach z czasów Ludwika XV lub XVI — w których Meissonnier jest rozmiłowany, i których malowniczość nadaje się niezmiernie do malarstwa. Każda z tych postaci jest postawiona w otoczeniu sprzętów, makat i obicia z odpowiedniej epoki. A więc, naturalnie, tworzy się ztąd harmonia, którą znakomity artysta podnosi jeszcze swym niezrównanym talentem naśladownictwa.

Natłok ludzi na tej wystawie przechodzi pojęcie. Nie trzeba się dziwić: jest tu czem nakarmić i najwymyślniejsze wymagania ludzkie. Wdzięk tych obrazków jest niesłychany prawdziwie; jest to wdzięk bratni, najznakomitszych mistrzów flamandzkich, z dodatkiem pewnej jakby świeżości i wytworności, pewnej elegancji w formie, na której tak często zbywa Flamandom. Tu ludzie rozpatrujący obraz w pracowni malarza — rozpatrują go tak pilnie, że możnaby przysiąc, że to fotografia i to w mgnieniu oka schwyciona. Amator sztychów, szukający w tece antykwarysza — czytający, a jest ich trzech czy czterech, w rozmaitych postaciach, to są ludzie zatopieni w książce. A cóż żołnierze grający w kości, czy w korby w kordegardzie? A ów grajek na basetli? — A owi dwaj zbroje, podsłuchujący i podglądający przez dziurkę od klucza, pode drzwiami przyszłej zapewne ofiary. I tyle a tyle innych? — Niewyłączając ani jednego z maleńkich obrazów, wszystko to są klejnoty i perły najdroższe.

Szczęśliwi, trzykroć szczęśliwi posiadacze — i szczęśliwy mistrz, który potrafił stworzyć tyle dzieł wspaniałych, tak wspaniałych, bo każdy z tych kilku-calowych obrazków, może zapełnić sobą ogromną przestrzeń — zachwyty. To jest malarstwo! to jest prawdziwie sztuka — to są dzieła! Można, zapewne, przewidzieć temu artystcie, że ilekroć osiągnął na wielkie rozmiary, nie dorównał własnemu talentowi; przed wielkim płótnem jest on jakby mu tchu nie stało. Ale cóż to znaczy, jeżeli w drobnutkich rozmiarach obrazie jest artystą tak olbrzymiej potęgi? Pozwólcie uczynić wam spowiedź swoją. Na wystawę Munkaczego trzy razy dobrowolniebym nie poszedł, z wystawy Meissonniera, aby mię wypędzić, trzebaby poprostu wziąć za kark.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: *Z krwawych dni*; oraz początek powieści pod tyt.: *Sąd Boży*, arkusz 2-gi.

TREŚĆ. Pamięci Stanisława Grudzińskiego, (poezya), przez Maryę Illicką. — Kwestya kobieca w Europie, przez M. I. — Stanisław Grudziński, (Wspomnienie pośmiertne). — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Kobieta w Anglii, (dalszy ciąg), przez M. I. — Nowiny paryżkie, (dokończenie).

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Юня 1884 года.